

Zapis pamięci

Ilekroć cofam się myślą do lat młodości i dzieciństwa, to zawsze w mej wyobraźni jak w oglądanym przed chwilą filmie jawią się tamte, jakże znajome, niezapomniane dotąd fakty i ludzie.

Mimo upływu tylu już lat, to nawet we śnie nie się tam nie zmieniło. Te same, lekko pofałdowane pola, łąki, jeziora, lasy. Słowem - ta sama od wielu pokoleń, krwią bohaterów i potem ciężkiej pracy biednych chłopów zroszona ziemia.

Tam się urodziłem i wychowałem, tam pozostały korzenie mego życia i groby moich przodków. Tą ziemią są Kresy Wschodnie II Rzeczypospolitej - to Ziemia Wileńska. Chęć przez wieki ujarzmiana przez obcych, deptana przez wrogów, zawsze była i pozostała nam bliska, serdecznie znajoma i swoja. Polacy tam urodzeni po I wojnie światowej nie długo, bo tylko przez niecałe dwadzieścia lat cieszyli się swą wolnością.

Pamiętny Wrzesień 1939 r. przekreślił im wszystko. Najpierw hitleryzm, później komunizm zburzył istniejący porządek świata, a nas Polaków na Kresach pozbawił własnej ojczyzny - Matki Polski.

Dla milionów córek i synów tej Ziemi nastąpiły najbardziej ponure w dziejach lata. Kiedy po zakończeniu w 1945 r. tej najkrwawszej wojny większość państw Europy oddychała już zbawiennym pokojem, budowała nowy swój ład i porządek, to ludność naszych kresów nadal doznawała od okupantów różnego rodzaju represji, bezprawia i mordów.

Ażeby zachować swą godność i przeciwstawić się różnego rodzaju szykanom i poniewierce, uniknąć licznych aresztowań i wywózki do ZSRR bądź też wcielenia do Armii Czerwonej, liczna młodzież podobnie jak w Polsce centralnej zaczęła schodzić do podziemia, organizować samoobronę i czynny opór. Od tego czasu dla wielu młodych Polaków na Kresach domem był przeważnie tylko las.

Od połowy lutego 1940 r. do 20 czerwca 1941 r. były tam aż cztery masowe deportacje na Wschód, a ofiarami ich byli przeważnie Polacy.

Tylko w tym czasie według nieoficjalnych statystyk na Sybir i Kazachstan wywieziono około 1,5 miliona naszych rodaków, z której to liczby ok. 60% nigdy już nie wróciło.

Wywożono nie tylko tzw. burżujów i rodziny inteligenckie lecz także zamożniejszych chłopów, tzw. kułaków, gajowych, policjantów, leśniczych, a nawet listonoszy. Była to więc na szeroką skalę zorganizowana masowa akcja nie tylko wynarodowienia, ale i całkowitego wyniszczenia zamieszkałych tam od wieków naszych rodaków. Prawie wszyscy tam mieszkający uważani byli jako wrogowie sowieckiej władzy i wcześniej czy później musieli być zniszczeni.

W stosunku do niektórych bez względu na wiek, kalectwo bądź ciężkie nawet choroby stosowano szczególnie perfidne metody postępowania. Przykładów takich znam kilka, ale posłużę się chociażby tym jednym. W sąsiedztwie mego ojca w miejscowości Mariampol gminy podbrzeskiej powiatu wileńskiego na dwudziesto hektarowym lecz bardzo już podupadłym gospodarstwie mieszkał prawie samotnie liczący około 80 lat jego właściciel Ksawery Drozdowski. Stary ten człowiek prawie niewidomy i analfabeta duszą i sercem oddany był Polsce.

Z racji dość znacznej posiadłości ziemskiej w urzędzie „sielso-wieta” musiał zapewne figurować jako „kułak” i wróg narodu.

Podobnie więc jak innych należało go zniszczyć. To też pewnego jesienno dnia 1940 r. przybyło do niego dwóch młodych mężczyzn.

Byli ubrani w polskie mundury, na czapkach wojskowe orzełki.

Staruszek ten choć zawsze przezorny i doświadczony przez życie przyjął ich za swoich, tj. polskich partyzantów. Kiedy z nimi rozmawiał podczas skromnego poczęstunku - czym chata bogata, inny w tym czasie w stodole, w miejscu sobie wiadomym podłożył karabin.

Kiedy ci „swoi” opuścili dom, uradowany lecz tym razem naiwny gospodarz chwalił się zaufanym sąsiadom, że rozmawiał i gościł polskich partyzantów. W rozmowie powiedzieli mu, „że już niedługo wróci tu Polska i będzie tak, jak było tu do wojny”.

Nie długo pan Ksawery cieszył się tą nadzieją. Po paru dniach przed starym jak on sam domem zatrzymała się okryta brezentem ciężarówka. Dwóch NKWDzistów weszło do izby, a jeden z karabinem pozostał na miejscu. Pilnował w ciężarówce skulonych na tobołkach kilku mężczyzn, płaczących z rozpaczą i przerażenia kobiet i dzieci.

Te dwie rodziny z sąsiedniej wsi Pomusie zostały zabrane wcześniej. Ci dwaj natomiast, pod pretekstem dokonania rewizji zaprowadzili staruszkę do pobliskiej stodoly i w jego obecności, nie szukając zbyt długo wydobyli uprzednio schowany w sąsiedku karabin.

„Za ukrywanie dla polskich partyzantów broni” zabrali też i jego. Kilometrami dalej z folwarku Mariampol wywleczono z łożka również w podeszłym wieku i obłożnie chorego właściciela F. Rutkowskiego.

Razem z nim zabrano też i jego najbliższych. Tym nie pozwolono nawet zabrać lekarstw i cieplejszego okrycia dla chorego. Mówiono później, że zmarł on zanim dowieziono do zbiorowego transportu z Wilna do ZSRR.

W tym czasie, tj. od października 1939 r. do czerwca 1941 r. tylko z okolic Podbrzezia, nie mówiąc o dalszych wsiach i folwarkach zostało wywiezionych do ZSRR ponad 20 rodzin.

Na liście do najbliższej wywózki oprócz wielu innych znajdowała się także i moja rodzina. Znajomy mego ojca opowiadał, że tę listę z innymi papierami znaleziono w teszce jednego z najbardziej fanatycznych komunistów, byłego „parobka” Franciszka Józefowicza.

Kiedy będąc pijany po libacji w „sielsowiecie” wracał późnym wieczorem do domu w majątku Podbrzesk, ktoś kamieniem rozstrzaskał mu głowę i zabrał teczkę. Nazajutrz znaleziono go martwego w przydrożnym rowie. Wiele zagrożonych wywózką w całej okolicy cieszyło się, że zginął jeden z hersztów siejących grozę i postrach.

20 czerwca 1941 r. na wschodniego tyrana jak grom z jasnego nieba spadło niemieckie uderzenie. Nic też dziwnego, że ludność Kresów nękana terrorem i licznymi represjami, nie znająca dotąd brunatnego faszyzmu przyjęła nowego okupanta z nieukrywaną radością, wręcz z entuzjazmem. Ale i tu pierwszymi jego ofiarami stali się miejscowi Żydzi. Już w pierwszym tygodniu obecności Niemców, grupami, osobno mężczyzn, osobno kobiety Żydówki goniono pod eskortą do pracy w sowchozowych majątkach będących teraz pod zarządem niemieckim.

Pewnego lipcowego dnia pod pozorem wykonania innej pracy w jednym z sąsiednich majątków zarządzono na placu rynkowym w Podbrzeziu zbiórke młodych, zdrowych Żydów. Stawili się prawie wszyscy. Wkrótce załadowano ich na ciężarówki. Nie domyslaając się co ich czeka jechali do tej „lepszej” pracy zadowoleni. Za miasteczkiem ciężarówki wjechały na boczną polną drogę w kierunku pobliskiego majątku Troki.

Nikt nie przypuszczał, że jest to ostatnia ich droga, że jada na śmierć. Po kilku godzinach zabrano też i powieziono tą samą drogą starszych mężczyzn, kobiety i dzieci.

Tegoż dnia wczesnym popołudniem z kierunku Trok dały się słyszeć pojedyncze strzały i krótkie serie z broni maszynowej.

To tam, przy polnej drodze w gęstych zarosłach okalających dawną żwirownię znajduje się zbiorowa mogiła pomordowanych podbrzeskich Żydów. Czy spośród ponad stu ktoś z nich ocalał - nie wiadomo.

Po kilku dniach tej masakry, nocą ktoś cicho zapukał do okna naszego domu. Słyszając szczekanie psa zbudzony ze snu ojciec wyjrzał przez okno. Na dworze stało trzech skulonych, okrytych płaszcami i kocem mężczyzn. Zwracając się do ojca po nazwisku błagali o pomoc, o ratunek. Było to trzech znajomych ojcu Żydów w tym także rabin.

Litując się nad nieszczęśliwymi ojciec zaprowadził ich do stodoły i tam przystawiwszy drabinę kazał wejść na tzw. wyżki, gdzie była złożona koniczyna. Po paru dobach w tej kryjówce Żydzi w obawie, że stodoła jest tuż przy drodze i grozi im, jak też i ojcu niebezpieczeństwo wykrycia, nocą również gdzieś poszli w nieznane.

Podobnie jak za okupacji sowieckiej, tak i teraz, administracja cywilna na Ziemi Wileńskiej powierzona została Litwinom. Mimo, że od wieków Polacy stanowili tu przeważającą większość wśród innych grup narodowościowych, to Litwini przybywający tu z centralnej Litwy stali się prawdziwymi panami tej Ziemi.

Ze szczególną niechęcią, a nawet z pogardą odnosili się do miejscowych Polaków. Niektórzy z nich nadal uważali nas za okupantów tej Ziemi i stolicy Wilna. Inni natomiast za ...spolszczonych Litwinów. To też wszystkim tu Polakom wbrew ich zgody pozmieniali brzmienie imion i nazwisk końcówką - as, is.

Nieznający języka litewskiego z trudem, bądź w ogóle nie mogli załatwić swych spraw w urzędach. Utrudniano też kupna wszelkiego rodzaju towarów w sklepach zbywając słowem - „niera”, albo „nie su-prantu” t.zn.- nie ma, nie rozumiem.

Oprócz zacierania wszelkich śladów polskości, ze szczególną energią rugowano ze szkół język polski. Na lekcjach językiem obowiązującym był tylko litewski, co dla dzieci polskich było prawdziwym utrapieniem. Z tego też powodu znaczna część młodzieży polskiej zniechęcona do nauki w tym języku zaniechała uczęszczania do szkół.

Miejsca zwalnianych ze szkół nauczycieli Polaków zajmowali Litwini. Za każde naruszenie regulaminu przez polskich uczni czekały surowe kary. Mimo to, młodzież polska nie raz dawała dowody swego sprzeciwu i przywiązania do własnej ojczyzny - do Polski.

Piątego maja 1940 r. zgromadzona na dużej przerwie młodzież żeńska klasy maturalnej państwowego gimnazjum kupieckiego w Wilnie przy ul. gen. Żeligowskiego, dla uczczenia 5-tej rocznicy śmierci Marszałka Józefa Piłsudskiego zaspiewała Pierwszą Brygadę.

Usłyszawszy to nauczyciele litewscy weszli na salę i za karę prawie 20 uczennic nie dopuścili do egzaminu maturalnego, a pozostałym znacznie obniżyli stopnie z nauki.

Podobnie jak w szkołach, stan zniewolenia religijnego przeżywali też wierni. W niedziele i święta tylko w nielicznych kościołach Wilna pozwolono na jednorazowe odprawianie nabożeństw i głoszenia kazań w języku polskim.

Z całą surowością ~~przez~~ prawa egzekwowano od ludności polskiej podatki, obowiązkowe dostawy płodów rolnych i inne świadczenia na rzecz gminy.

w r. 1941 Litwini pewni niemieckich sukcesów na Wschodzie, od początku uważali Niemców jako swych jedynych mocodawców i wyzwolicieli. To też w nagrodę, bądź w dowód wzajemnego zaufania dowództwo

niemieckie wyraziło zgodę na zorganizowanie przez Litwinów jednej ochotniczej dywizji strzelców pod dowództwem gen. Plechawiciusa.

Głównym zadaniem tej dywizji było zapewnienie bezpieczeństwa wewnętrznego na Litwie jak również zwalczanie polskiego podziemia na Wilenszczyźnie. W dalszej perspektywie dywizja ta miała stanowić załóżek przyszłej armii litewskiej.

Oprócz tego wielu Litwinów już zaraz po wkroczeniu Niemców na wilenszczyznę ochotniczo zgłosiło swój udział do niemieckich formacji policji kryminalnej. Niektóre z nich brały czynny udział w masowym rozstrzeliwaniu miejscowych Żydów w Ponarach pod Wilnem.

Znaczna część tej dywizji była skierowana do likwidacji coraz to liczniejszych oddziałów partyzanckich AK na Wilenszczyźnie.

W potyczkach jednak i walkach z Polakami Litwini nie odnosili prawie żadnych sukcesów, a tylko same porażki i znaczne straty.

Dla osmieszenia celowości ich walki wziętych do niewoli szaulisów rozbrajano i po rozebraniu do kałesonów puszczano wolnych.

Mimo, że na jesieni 1943 r. sukcesy Niemców na wschodzie coraz bardziej słabły i linia frontu wyraźnie cofała się ku zachodowi, to Litwini nadal nie zaniechali szykan w stosunku do Polaków. Na niektórych gospodarstwach polskich zaczęli osiedlać swoich osadników.

Byli to przeważnie szaulisi posiadający przy sobie bron palną.

Z chwilą osiedlenia takiego, cały dobytek rodziny polskiej stawał się automatycznie własnością Litwina. Wśród 36 rodzin wysiedlonych w naszej gminie była też i rodzina mego ojca. Skazani na wygnanie, pozbawieni środków do życia przez osiem miesięcy musieliśmy się tułać gdzie kto mógł - u swoich znajomych, krewnych, przyjaciół.

Co gorsza, że w tym czasie ze wschodu nadciągała już nowa dla Polaków groźba. Z każdym dniem zbliżał się front i słychać już było wybuchy bomb i coraz bliższe strzały armatnie. Przed frontem cofających się wojsk niemieckich, z rejonów Głębokiego, Postaw, Święcian, Wilejki cofały się także ku Wilnu i jego okolic liczne oddziały i zgrupowania AK.

Wśród miejscowych Litwinów i ich władz panowało coraz to większe zdenerwowanie i niepokój. W obawie przed oddziałami AK, które coraz to liczniej pojawiały się teraz na terenie gminy, pośpiesznie zaczęli organizować nowe i umacniać już istniejące stanowiska obronne w miasteczku. Najbardziej jednak zagrożeni poczuli się przesiedleni tu przed kilkoma miesiącami osadnicy litewscy. To też większość z nich nie czekając aż nadejdzie front zabierała ze sobą resztki dobytku po Polakach i pośpiesznie opuszczała przydzielone im gospodarstwa. Podobnie postąpił też i Jonas Mikalauskas - szaulis, osadnik

na gospodarstwie ojca. Po osmiu miesiącach tułaczki i ~~państw~~ poniewierki wróciliśmy wreszcie na swoje, ale do gołych już tylko scian.

Spośród wielu tragedii i wydarzeń jakie w tych latach miały miejsce na Ziemi Wileńskiej pragnę wspomnieć tylko ten jeden, szczególnie krwawy dramat jaki miał miejsce niedaleko od nas w majątku Gliniszki. Tam to, przed południem 20 czerwca 1944 r. przybyło kilku partyzantów AK, ażeby zaopatrzyć się w żywność.

W pobliżu domu, w którym mieszkało kilka polskich rodzin, w tym także sześciuosobowa rodzina polskich nauczycieli - państwa Konecznych, doszło do walki pomiędzy naszymi partyzantami i szaulisami.

Czterech szaulisów poległo. Głowa rodziny - Józef Koneczny jako buchalter tegoż majątku pojechał niezwłocznie do oddalonego o 4 km Podbrzezia, ażeby złożyć w urzędzie gminy meldunek o ilości zabranego przez partyzantów towaru. Podczas gdy był on w gminie szaulisi powrócili i pod zarzutem, że mieszkańcy tegoż domu wskazywali partyzantom, gdzie powinni strzelać, kazali wyjść wszystkim z domu, a następnie rozstrzelali. rozstrzelano razem prawie 40 osób, w tym prawie same kobiety i dzieci.

Wśród rozstrzelanych znalazła się też żona Józefa p. Ludmiła Koneczna z 14-to letnim synem Jarosławem. Dziewięcioletni Ryszard ukrył się w domu w beczce po kiszonych ogórkach bądź kapuscie i tylko w ten sposób ocalał.

Został rozstrzelany także ojciec rodziny Józef Koneczny razem z przybyłym z Wilna zarządcą majątków państwowych p. Komarem pochodzącym z Litwy. Jednocześnie rozstrzelano też przygodnego przechodnia udającego się na wieś z Wilna po zakupy żywności.

Najstarsza z zamordowanych tam osób liczyła 78 lat, dwie najmłodsze zaledwie po 3 lata. Wieku czterech ofiar nie zdołano ustalić.

Kilka dni później, tj. 26 czerwca nastąpiła ekshumacja i pochowanie ofiar w rodzinnych trumnach przy drodze z Podbrzezia do Gliniszek /koło wąwozu/.

Ekshumacji - o dziwo na rozkaz oficerów niemieckich dokonali pomimo początkowego sprzeciwu, szaulisi, którzy rozstrzelali.

Relację o tej potwornej zbrodni przekazał mi parę lat temu pan Henryk Koneczny - najstarszy syn pomordowanych, obecnie pracownik naukowy Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Będąc uczniem w starszych klasach szkoły powszechnej w Podbrzeziu w latach trzydziestych, po dziś wspominam tych nauczycieli ze wzruszeniem i chyląc w pokorze głowę nad tamą mogiłą oddaję mój hołd ich cieniom.

Trzynastego lipca 1944 r. Armia Czerwona i liczne oddziały AK w operacji „Ostra Brama” zajęły Wilno. W krwawej walce z Niemcami o to miasto poległo wielu młodych patriotów - polskich partyzantów. Udział AK jako siły zbrojnej Polski będącej w koalicji antyhitlerowskiej w wyzwoleniu Wilna był pełnoprawny i uzasadniony.

Miasto to bowiem i Ziemia Wilenska formalnie stanowiły część II Rzeczypospolitej. Tęgo stanu rzeczy nie uznawali Litwini, którzy z tym większą zaciekłością rozpętały kampanię oszczerstw i nienawiści przeciwko AK i Polakom.

W obawie przed represjami ze strony Litwinów, rodziny poległych o Wilno AKowców potajemnie usuwały z krzyży nagrobnych tabliczki i ich nazwiskami.

Dowództwo Armii Czerwonej zamiast podzięk i uznania dla swych „sojuszników” za bohaterstwo i ofiary poniesione podczas operacji „Ostra Brama” tak się odplaciło:

Formacje NKWD podstępem i zdradą zarządziły koncentrację dowódców i oddziałów AK na pilną „naradę wojenną” w rejonie Miedniki.

Kiedy znaczna część tych oddziałów przybyła na miejsce zbiórki, natychmiast zostały okrażone i rozbrojone. Tylko nielicznym udało się wymknąć ze zdradzieckich kleszczy i uniknąć internowania w kałudze. Po wkroczeniu ponownym Armii Czerwonej na te tereny władze sowieckie cały zarząd i administrację cywilną przekazały Litwinom - wiernie oddanym Moskwie sługusom.

Dla ludności polskiej na Kresach nastąpiły znowu nie mniej trudne i ciężkie czasy niż za okupacji niemieckiej. Z większą jeszcze intensywnością niż po 17-tym września 1939 r. wzmożła swą działalność sowiecko-stalinowska propaganda. W każdej niemal wsi urządzało t.zw. „krasnyj ugałok” /czerwony kącik/, w którym obowiązkowo musiały być czerwone flagi, portrety Marksa, Engelsa, Lenina, Stalina, a także propagandowa bibuła. Tam też wyświetlano filmy o życiu i dobrobycie sowieckich ludzi w kołchozach. Do oglądania tych filmów, słuchania pogadanek, odczytów itp. bredni zachęcali, a często też nakazywali brać udział t.zw. „aktywiści”. Kto im odmawiał mógł się narazić na przykre niespodzianki.

Często niewybrednym terrorem i różnego rodzaju represjami zmuszano chłopów do oddawania własnej ziemi kołchozom. Wszystkich nieco zamożniejszych zaliczano do „kułaków”. Oni to mieli stanowić dla władzy radzieckiej najbardziej groźny i niebezpieczny element.

Ażeby złamać ostatecznie opór i przywiązanie chłopów do własnej ziemi, stosowano najbardziej wyszukane metody i przemoc fizyczną. Oprócz niewspółmiernie wysokich podatków, obowiązkowych dostaw zboża, mięsa, mleka, wełny itp. pod groźbą surowych kar zmuszano chłopów ~~na~~ bez względu na wiek i zdrowie, do wyrębu i zwózki drewna

z odległych nieraz o dziesiątki kilometrów lasów. Wielu przypłaciło to swym kalectwem, a nawet śmiercią.

Ponownie tysiącami niewinnych ludzi wypełniły się t.zw., „podwały” i więzienia. Aktywną działalność w miastach i na wsi rozpoczęła NKWD i jej liczni służusy. To też na porządku dziennym były znów różnego rodzaju donosy, inwigilacje podejrzanych, dostarczanie władzom oskarżających dowodów itp. Mimo tej przemocy i terroru nie zaprzestało swego działania polskie podziemie będące dla Polaków na Kresach jakby przysłowiową deską ratunku i jedyną nadzieją.

Z wyroków tegoż podziemia niektórzy konfidenti i służusy za swą niecną działalność przypłacili życiem. Innym mniej groźnym i niebezpiecznym wystarczyła tylko t.zw., „norma” tj. od 25 do 100 wyciorów od karabina na gołe ciało w zależności od ciężaru winy. Tego rodzaju kary wymierzane zdrajcom nie tylko Polakom, przez podziemie stały się dla nich największym postrachem i przestrogą.

Już od lipca 1944 r. na Wileńszczyźnie i całych Kresach Wsch. NKWD wznowiło liczne zsyłki i deportacje całych rodzin miejscowej ludności do ZSRR. Oprócz tego trwały też zakrojone na szeroką skalę obławy na młodych mężczyzn do Armii Czerwonej.

Najpierw w celach więziennych, a później w bydłych wagonach razem jechali na Wschód deportowani Polacy, Litwini, Białorusini, Ukraińcy. W tym okresie, tj. od lipca 1944 r. do grudnia 1945 z mojej tylko gminy wywieziono do ZSRR dalszych kilkanaście rodzin, w tym cztery rodziny bliskich nam krewnych. Z trojga rodzeństwa Gudowiczów z Krasnojarskiego Kraju nie wrócił ani jeden. Najmłodszy z nich Stanisław podejrzany przez milicję o współpracę z AK i osadzony w więzieniu na Łukiszkach w Wilnie był torturowany i bity przez śledczych NKWD.

Brat mój, także więziony w tym czasie, widział pokrwawionego Stanisława, gdy prowadzono go w tym stanie ze śledztwa do celi. Wywieziony nie długo po tym na Syberię razem z bratem i siostrą, chory na gruźlicę, zmarł tam po paru miesiącach zsyłki.

W tym samym czasie, kiedy brat mój młodszy siedział w tym więzieniu, od kilku miesięcy oczekiwała też na swój proces córka naszej kuzynki Teresa P. Ta młoda zaledwie 17-to letnia dziewczyna przed aresztowaniem pracowała jako pomoc w sklepie z artykułami spożywczymi w Wilnie. Pracowała, by za nędzne ruble dopomóc swej matce-wdowie w utrzymaniu trojga młodszego rodzeństwa. Winą za ujawniony rzekomo brak towaru sprzedawczyni Rosjanki obarczyły Teresę.

Zrozpaczona i bezradna matka dziewczyny nigdzie nie mogła znaleźć pomocy w uwolnieniu niewinnej córki. Całymi dniami stała na



mrozie przed bramą więzienia by podać córce świeżą bieliznę, mydło, kawałek chleba. Od strażniczki z portierni zawsze słyszała tylko jedną i tą samą odpowiedź: „niet takoj”.

Na procesie bez prawa do obrony zapadł bezapelacyjny wyrok: - 15 lat ciężkich robót i zsyłka na Północ do łagru w Worskucie.

Dla uzupełnienia własnych strat w zabitych i rannych na froncie z Niemcami, milicja i czerwonarmiści niejednokrotnie przeprowadzali masowe aresztowania i obławy na młodych Polaków.

Podczas jednej z takich obław został zastrzelony młody nasz sąsiad T. Bogdanowicz. Widząc zbliżających się „bajcow” nie zdążył uciec z domu i skrył się na strychu za kominem. Tam zastała go śmierć. Pijany, rozbestwiony żołdak czerwonarmista przeszukujący strych zauważywszy chłopca przeszył go serią z automatu.

Więcej szczęścia miał młodszy mój brat Józef, który przed obławą zdążył uciec do pobliskiego lasu. Ażeby uniknąć wcielenia do Armii Czerwonej ukradkiem dostał się do Wilna i jako Polak niezwłocznie zgłosił się w punkcie werbowym do Armii Berlinga.

Tam też otrzymał odpowiednie zaświadczenie i przez kilka dni oczekiwał na transport, który z ochotnikami miał odjechać na teren Polski. Gdy 14 października 1944 r. wracał do znajomych na kwartę, natknął się na patrol NKWD. Będąc zatrzymany okazał posiadany dokument wojskowy. Dla nich był on bez znaczenia. Nie czytając go porwali, a brata odstawili do więzienia na Łukiszkach.

Po licznych tam „doprosach” przez śledczych NKWD i to przeważnie nocą, 10-go marca 1945 r. wraz z innymi więźniami został wywieziony do łagru w Saratowie n/Wołgą. Już w czasie dwutygodniowej podróży, z głodu, pragnienia i zimna zmarło kilku więźniów.

Na przystankach przeważnie w czystym polu konwojenci wyrzucali zmarłych do rowu tuż przy torach. Pracując o głodzie i w niehumanicznych warunkach na budowie gazociągu Saratow-Moskwa spośród kilkuset więźniów zmarło dalszych kilkunastu.

W październiku 1946 r. z Saratowa zostali wywiezieni do łagru w Kutaisie /Kaukaz/. Tam również prace ziemne i jeszcze cięższe niż przedtem warunki bytu. W pierwszym liście na kawałku szarego papieru od worka po cemencie, brat prosił tylko o suchary i cebulę. Wysyłane tam parokrotnie paczki nigdy jednak nie dochodziły do adresata. Jeżeli i dochodziły, to odbierał je ktoś inny najpewniej spoza pracujących tam więźniów.

Te niehumaniczne obozowe warunki, braki całej odzieży i głodowe racje żywnościowe zmusiły więźniów do złożenia zbiorowej skargi na czelnikowi łagru.

Zamiast oczekiwanej poprawy spotkała za to jeszcze srozsza kara. Więźniowie zostali podzieleni na kilka grup i przewiezieni do innych łagrów. W kwietniu 1947 r. grupę, w której był brat przewieziono do łagru w Astrachaniu nad morze kaspijskie.

Wyczerpująca resztki sił i możliwości ludzkich praca przy ręcznym uzdatnianiu gliny w cegielni, oraz liczne choroby spowodowały śmierć w ciągu roku także kilkudziesięciu ludzi.

W październiku 1948 r. brat mój cały opuchnięty, do reszty wyczerpany fizycznie i chory na uporczywą malarię, po prawie pięciu latach obozowej gehenny wrócił z nieludzkiej ziemi do Polski.

Tu wreszcie spotkał się ze swą dawno niewidzianą rodziną.

Jako repatrianci z rodzinnej Wilenszczyzny przybyli tu „z Polski do Polski” w lipcu 1946 r. na t.zw. Ziemię Odzyskaną i osiedlili się na Warmii-w olsztyńskim.

Według nieoficjalnych dotąd statystyk tylko NKWD aresztowało na Kresach ponad 30 tysięcy działaczy polskich, z których uchwaziło się niewiele ponad 30 tysięcy.

Ponad 250 tys. po procesach z wyrokami zesłano do łagrów, z których wyszli tylko nieliczni, zaś około 100 tys. osadzonych w polskich więzieniach w chwili uderzenia Niemców na ZSRR wybito, albo w celach, albo w czasie makabrycznych marszów śmierci.

Około 450 tys. młodych Polaków z ziem wschodnich w r. 1940 do połowy 1941 r. i następnie od lipca 1944 do maja 1945 r. zostało powołanych do Armii Czerwonej.

Rzuceni na pierwszą linię najcięższych bojów, w większości ginęli. Ginęli też nie tylko oni. W czasie okupacji niemieckiej partyzantka sowiecka pod różnym pretekstem zamordowała na ziemiach polskich ok. 50 tys. ludzi.

Po ponownym wkroczeniu Armii Czerwonej na polskie Kresy Wsch. w r. 1944 rozbrojono i wywieziono na wschód ok. 40 tys. AKowców i tyleż prawie aresztowanych. Wielu z nich zamordowano. Dla nich problem w mordowaniu w ogóle nie istniał.

Wszędzie, gdzie tylko stanęła ich noga, jak za czasów Dżyngis Chana panoszyła się dzika, azjatycka „kultura”, panował czerwony totalizm i przemoc. Takich oto czasów - zbrodniczego absurdu i strasznych doświadczeń doznał Naród polski na kresach II Rzeczypospolitej.

„Jeżeli kiedy miałbym zapomnieć o Nich, niech Bóg na niebie zapomni o mnie”.

Grudzień, 1991 r.



